Wspomnienie o Szkole Podstawowej nr 4 – kartka z pamiętnika absolwenta

Beata Kurzynka, Mama Kingi, kl. VII c

Do Szkoły Podstawowej nr 4 w Skierniewicach uczęszczałam w latach 1985-1993.

Wspomnienia z czasów szkolnych wywołują u mnie uśmiech. Szkolne wycieczki, dyskoteki, karteczki przesyłane na lekcjach lub wkładane w kaptur kurtki (nie było wówczas telefonów komórkowych), mundurki szkolne w klasie 1-3, w których każdy wyglądał podobnie, nie istniała żadna moda, nie było rywalizacji pomiędzy uczniami, pierwsze przyjaźnie, które kiedyś wydawały się przyjaźniami na całe życie, pierwsze miłości.

Bardzo miło wspominam wszystkich nauczycieli, którzy w ciekawy sposób przekazywali wiedzę i zachęcali do czynnego udziału w lekcjach. Szczególnie serdecznie wspominam Panią od języka rosyjskiego, która zainspirowała mnie do podjęcia studiów na kierunku filologia rosyjska.

8 lat spędzonych w szkole podstawowej na zawsze pozostaną w mojej pamięci, jako lata totalnej beztroski i fantastycznych chwil.

Justyna Ścięgosz (Marat)

Jestem absolwentką Czwórki z roku 1994. Aktualnie do szkoły uczęszcza mój syn, Hubert. Jakimś dziwnym trafem jego wychowawczynią jest teraz moja była wychowawczyni, pani Ewa Głogowska. W związku z tym zostałam poproszona o napisanie jakiegoś wspomnienia z lat szkolnych. W końcu to jubileusz 100- lecia naszej podstawówki!

Otóż w ósmej klasie wybrano mnie przewodniczącą szkoły czyli Samorządu Uczniowskiego. Była to funkcja bardzo zaszczytna i odpowiedzialna. Na ostatnim apelu, kończącym rok szkolny, miałam wygłosić przemówienie pożegnalne w imieniu klas ósmych. Dług i pieczołowicie je przygotowywałam. Nie mogłam jednak czytać z kartki, wszystko musiałam powiedzieć z pamięci.

Postanowiłam powtórzyć tekst tuż przed uroczystością. Wiadomo, chciałam dobrze wypaść. Najlepszym miejscem na próbę generalną wydała mi się … toaleta dla nauczycieli. Panowały w niej zupełna cisza i spokój. Zadowolona wyrecytowałam do lustra całe przemówienie z wielką powagą i przejęciem, akcentując odpowiednio każde słowo. Gdy skończyłam, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu z jednej z kabin wyszła ówczesna wicedyrektor, pani Małgorzata Góralczyk i … z uśmiechem pogratulowała mi wystąpienia. Moja trema zniknęła całkowicie, natomiast na twarzy pojawiły się rumieńce. Po tym przeżyciu mowa pożegnalna na apelu była już „bułką z masłem".

Z pozdrowieniami dla wszystkich absolwentów, szczególnie z rocznika 94!

Dorota Ryfka (Góral)

Do Szkoły Podstawowej nr 4 w Skierniewicach uczęszczałam w latach 1974 – 1982. Moją wychowawczynią przez osiem lat była pani Krystyna Kowalska – nauczycielka zajęć praktyczno – technicznych. Na początku edukacji funkcję dyrektora pełnił pan Kajetan Bartczak, którego zastąpiła na stanowisku bardzo charakterystyczna , żeby nie powiedzieć charakterna, pani Wojtasiewicz (imienia nie pamiętam). W najstarszych klasach w czwórce szkołą zarządzała pani Urszula Wenus, która uczyła mnie matematyki.

Był to czas, kiedy wszyscy nosiliśmy granatowe fartuszki z białym kołnierzykiem. Pamiętam też zielone, pochyłe ławki z otworami na atrament. Rozkład pomieszczeń nie uległ diametralnej zmianie. W sali nr 13 odbywały się lekcje języka rosyjskiego (jedynego obowiązkowego języka obcego dla uczniów od V klasy), w 14 znajdowała się sala biologiczna, w 12 - pracownia języka polskiego, a w 24 odbywały się lekcje geografii. Trochę inaczej wyglądał hol II piętra. Tam, gdzie obecnie znajduje się gabinet pielęgniarki i sala 15, za moich czasów był pokój nauczycielski – miejsce, do którego uczniowie praktycznie nie mieli wstępu. W obecnej pracowni przyrodniczej odbywały się lekcje fizyki, które prowadził pan Mirosław Tytz. Ucząc się pod jego okiem w podstawówce, nie miałam pojęcia, że jest zasłużonym członkiem Stowarzyszenia Szarych Szeregów w Skierniewicach. Naprzeciwko sali fizycznej znajdowała się Izba Pamięci, a w rogu przylegającym do pokoju nauczycielskiego stał kiosk, w którym mieścił się sklepik szkolny.

Co ciekawe, w sklepiku tym , począwszy od czwartej klasy, sprzedawałam ja z moją koleżanką Marzeną. Była to bardzo odpowiedzialna funkcja, która wiązała się z dużą popularnością wśród uczniów i nauczycieli, ale też całkowitym brakiem wolnego czasu podczas przerw. Stałam się osobą rozpoznawalną i taką, u której zawsze można było coś zamówić. Ponieważ były to czasy głębokiej komuny, asortyment nie był zbyt bogaty, ale zawsze coś ciekawego od czasu do czasu „rzucano". Pamiętam, że hitem były batony *Prince Polo*, na które zamówienia składali nauczyciele, np. pani Sobańska. Dziś trudno to sobie wyobrazić, ale w sklepiku sprzedawałyśmy kanapki własnej produkcji. Na zajęciach ZPT uczniowie przygotowywali chleb, najczęściej z pasztetem i ogórkiem kiszonym oraz jajkiem i pomidorem. Z tego, co pamiętam, kanapki rozchodziły się jak świeże bułeczki.

Jeśli zaś chodzi o zajęcia praktyczno – techniczne, były to lekcje z prawdziwego zdarzenia. Pracownia mieściła się , jak to zwykle mawiano, w podziemiach, czyli tam, gdzie dziś mieści się biblioteka. Pamiętam, jak siedziałyśmy za maszynami i szyłyśmy fartuszki, rękawice kuchenne, poduszki na igły i tym podobne praktyczne rzeczy. W kolejnym pomieszczeniu znajdowały się kuchenki gazowe – tam gotowałyśmy i piekłyśmy ciasta. W miejscu, gdzie lekcje mieli chłopcy, znajdowały się imadła, więc zajęcia w stu procentach były praktyczne.

Z wielkim sentymentem wspominam uczących mnie nauczycieli. Pamiętam nazwiska wszystkich, gorzej z imionami. Języka polskiego uczyła mnie pani Joanna Wisławska (od klasy siódmej – pani Krystyna Kruchelska). Matematyki – bardzo wymagająca (tak mi się wydawało) pani Pawłowicz (od klasy siódmej – pani Wenus). Zamiłowanie do języka rosyjskiego rozbudziła we mnie pani Janina Białek. Nie sposób nie wspomnieć o nauczycielu wychowania fizycznego – panu Zbigniewie Ciesielskim. Nie pamiętam, kiedy pojawił się w „Czwórce", ale niewątpliwie był tym, który zmienił oblicze tej szkoły. Wprowadził zajęcia

judo, które były całkowitą nowością i cieszyły się dużą popularnością wśród uczniów (powstały nawet klasy o profilu sportowym, do których uczęszczało wielu moich obecnych znajomych). U mnie trener zaszczepił pasję do koszykówki. Trzy dni w tygodniu uczęszczałam na popołudniowe SKS-y, podczas których pan Ciesielski przygotowywał dziewczęta do zawodów. Z tego, co pamiętam, odnosiłyśmy poważne sukcesy na tym polu.

Jeśli chodzi o koła zainteresowań, to szkoła proponowała wiele aktywności. Ja związałam się z zespołem wokalnym „6+1", który prowadziła pani Elżbieta Baran. Próby odbywały się w obecnej sali 10, oczywiście popołudniami. Zespół liczył sześć dziewcząt i jednego wokalistę. Z początku był nim Janek Baran, a po jego odejściu ze szkoły, godnie zastąpił go mój obecny mąż Jacek. Jego talent muzyczny odkryła zupełnie przypadkowo prowadząca w zastępstwie zajęcia pani Przybylska. Przygoda z zespołem miała wiele odsłon. Pamiętam, że każda z dziewczyn miała spódniczkę innego koloru (mnie przypadł w udziale kolor bordowy; spódniczki szyte własnym sumptem). Wszystkie miałyśmy dwie kitki, ale najciekawsze było obuwie – granatowe pepegi wysmarowane pastą do zębów (przed każdym występem pieczołowicie zamieniałam granat na biel). Sukcesów było co nie miara. Jednym z nich był udział w Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. Dzięki temu wydarzeniu miałam okazję ujrzeć siebie w telewizji. Pamiętam, że byłam z tego powodu bardzo dumna. Dyrekcja zapraszała nas do swojego gabinetu i w ramach podziękowań za godne reprezentowanie szkoły częstowała czekoladkami (a trzeba pamiętać, że słodycze były, jak wszystko w tamtych czasach , reglamentowane). Czułam się wtedy niesłychanie wyróżniona i ważna.

Począwszy od klasy szóstej szkoła zaczynała przeżywać prawdziwe oblężenie. Wraz z „wyrastaniem" nowych bloków na osiedlu *Widok* przybywało uczniów we wszystkich klasach. Ja chodziłam do oddziału „B" i pamiętam jak dziś dzień 3 grudnia 1979 roku. To był poniedziałek, sala języka rosyjskiego i nowy uczeń o imieniu Jacek, który przyjechał z Mazur. Przedstawił się bez najmniejszego onieśmielenia, czym zyskał sobie sympatię, jak się później okazało, nie tylko moją. Nowy chłopak w klasie szybko ujawnił swoje wszechstronne talenty. W niedługim czasie został zwerbowany do zespołu „6+1". Ponadto odnosił sukcesy w biegach długodystansowych (jego trenerem był nieodżałowany pan Marek Zakonnik, także nauczyciel przysposobienia obronnego). Dziś odbywa się *Bieg Niepodległości*, wówczas to był *Bieg Zwycięstwa*. Jacek zajął odpowiednio 3. (w klasie siódmej) i 1. (w klasie ósmej) miejsce w tej rywalizacji, przyczyniając się tym samym do zwycięstwa „Czwórki" w klasyfikacji generalnej. Jak już wcześniej wspomniałam, ów zdolny uczeń, w którym się zakochałam podczas wycieczki klasowej do Krakowa , został po wielu latach moim mężem. Można więc powiedzieć, że Szkoła Podstawowa nr 4 połączyła nas na całe życie. Okazuje się, że to nie jest odosobniony przypadek. Moja siostra Ewa (absolwentka, rocznik 1979) też poślubiła chłopaka z „Czwórki" i są szczęśliwym małżeństwem od ponad trzydziestu lat.

Ostatnie lata edukacji w szkole to trudne czasy stanu wojennego. Mieliśmy w klasie bardzo postępową i niepokorną jednostkę. Miał na imię Rysiek. Na lekcjach historii prowadzonych przez panią Żałobę, głośno mówił o radzieckiej inwazji na Polskę 17 września 1939, o mordzie katyńskim i innych zabronionych treściach. Nietrudno sobie wyobrazić reakcję nauczycielki. Przystawiała palec do ust , mówiła „Ciii…" i kazała siadać lub po prostu usuwała z klasy. Tenże indywidualista Rysiek wpadł na pomysł, by przywiesić do drzwi gabinetu pani dyrektor (lub sekretariatu – nie pamiętam dokładnie) karteczkę z napisem: *Solidarność rządzi.* Sprawa odbiła się szerokim echem, trafiła nawet na milicję, a „wywrotowca" ukarano.

Dziś mówi się o problemach z dyscypliną wśród dzieci i młodzieży. Bezstresowe wychowanie doprowadziło do sytuacji, wobec których często nauczyciele rozkładają ręce. Mój rocznik też posiadał wady, ale pamiętam, że pedagog był autorytetem i to, co powiedział, było święte. Nikomu nie przyszło na myśl skarżyć na nauczyciela, a do pokoju nauczycielskiego, jak już wcześniej pisałam, strach było zajrzeć. Dyscyplinowaniu uczniów służyły apele porządkowe, które odbywały się co tydzień w poniedziałki o ósmej rano na górnym korytarzu. Klasy 4-8 ustawiały się „czwórkami", przewodniczący (wówczas to byli gospodarze) oddziałów zgłaszali dyrekcji gotowość klasy do apelu, a w dalszej części pani dyrektor przypominała o obowiązującym w szkole regulaminie, wymieniała z imienia i nazwiska zasłużonych uczniów, ale też nie wahała się „wyczytać" i zaprosić na środek jednostki, które w danym tygodniu nie przyniosły szkole chluby. Może dziś trudno to sobie wyobrazić, ale jak taki „delikwent" pokazał się publicznie, to czuł się bardzo niekomfortowo i, jak sądzę, zastanowił się dwa razy, zanim zrobił coś głupiego. Generalnie w szkole czułam się bezpiecznie, nie przypominam sobie sytuacji, które mogły stanowić zagrożenie dla mojego zdrowia.

A propos zdrowia – w szkole, oprócz pielęgniarki, funkcjonował gabinet dentystyczny i lekarski. Za czasów komuny dbano jednak o stan uzębienia dzieci i fachową pomoc lekarską. Wizyty u stomatologa nie należały do najprzyjemniejszych, ale do pana doktora Bujnowskiego wszyscy przychodziliśmy ochoczo. Gabinety, z tego co pamiętam, mieściły się na parterze i były oblegane przez uczniów (badania odbywały się przecież podczas lekcji).

Nie sposób wymienić wszystkich wydarzeń z ośmioletniego pobytu w Szkole Podstawowej nr 4. To szmat czasu, który dobrze zachował się w mojej pamięci. Teraz, gdy przyszło mi wrócić do tego budynku, czuję sentyment i wspomnienia odżywają. Szkoda, że nie ma już wśród nas wielu wspaniałych pedagogów, ale cieszę się, że mam przyjemność pracować z absolwentami „Czwórki" – panią dyrektor Barbarą Karwat, Krzyśkiem Wierciochem, Adamem Wenusem czy Pawłem Legięckim. Można rzec – historia zatoczyła koło.

Olga Danelska

Moje wspomnienia z „czwórki" sięgają roku 2005, kiedy jako mała dziewczynka z kucykami w odcieniu blond i okrągłych okularach na nosie przekroczyłam próg szkoły po raz pierwszy w życiu. Rozpoczynałam edukację w „zerówce", a trzeba było przyznać, że był to spory stres – nie uczęszczałam do przedszkola i wszystko, co wtedy umiałam, było zasługą niezastąpionych Dziadków i Rodziców. „Zerówkę" pamiętam bardzo dobrze, nadal mam zdjęcie klasowe i wciąż umiem przywołać imiona i nazwiska koleżanek i kolegów. Pamiętam białe koszyczki na przybory, pamiętam mały plecaczek, w którym nosiłam kilka zeszytów (plecaczek do tej pory dobrze służy!), a nawet jedną z prac plastycznych, którą udało mi się stworzyć. Był to jamnik z plasteliny, bardzo realistyczny, nawet z fioletową kością w pysku! Pamiętam, jaka byłam z niego dumna i jak nieopatrznie zostawiłam go na parapecie okna. Niestety nie przetrwał działania promieni słonecznych i następnego dnia znalazłam tam tylko kolorową plamę. Może nie jest to najweselsze wspomnienie, ale przecież mam tyle innych: wciąż widzę niektóre pluszaki, które leżały z tyłu klasy, zwłaszcza wielbłąda z wielką czupryną na głowie, którego uwielbiałam, stołówkę, do której codziennie chodziliśmy na

śniadanie, idąc korytarzem po niewidzialnej ścieżce, z której zejście groziło atakiem krokodyli. Pamiętam herbatę w stołówce, pamiętam jak każdego dnia Pani Hanna Smolaga wyznaczała ucznia, który szedł do stołówki, by zameldować, ile herbat będziemy potrzebowali. Sama też składałam takie meldunki. „Jest osiem dzieci w zerówce!”. Wspominam też fluoryzację, kiedy cała klasa szorowała mleczne zęby, które nie raz w trakcie tego zabiegu wypadały.

Po „zerówce” trafiłam pod skrzydła Pani Beaty Więckowskiej. Mały plecaczek wymieniłam na nieco większy, tym razem z wizerunkiem Kubusia Puchatka. Zmieniła się klasa, zmieniło się piętro i sala. Tym razem była to sala nr 1, w której to spędziłam z moją klasą trzy lata. Zapadła mi w pamięć nauka recytacji wierszy, matematyka, granie na flecie, a także religia. Pani Wiesława Zalewska przygotowywała z nami jasełka. Trzy razy z rzędu przypadła mi rola Maryi, a jaka byłam z niej dumna! Z występami kojarzy mi się też koło teatralne, pod opieką Pani Więckowskiej. Stworzyliśmy Kabaret Horrorek, niepowtarzalną grupę, przedstawiającą dzieje Ducha Lekkoducha i Ducha Bolibrzucha. Wystawiliśmy też „Kopciuszka” w wersji alternatywnej. Z naszą wychowawczynią nie raz obeszliśmy szkołę z serduszkami walentynkowymi i przystrojonym gaikiem, pukając do drzwi i śpiewając piosenki. Klasy 1-3 kojarzą mi się też z nauką pływania. Był to dla mnie duży stres, bo wody bałam się bardzo. Żeby pomóc mi przezwyciężyć strach, moi rodzice posłali mnie na lekcje dodatkowe. Jaki był efekt? Pływanie stało się mi bliskie aż do szkoły średniej.

Szczególnym wspomnieniem jest wycieczka do Dinoparku. Wszyscy byliśmy tak mali, że bez trudu mogliśmy cali wejść do paszczy tyranozaura. Zapamiętałam też jesienną wycieczkę do parku, akurat w dzień moich urodzin, kiedy po odśpiewaniu „sto lat” ktoś chciał mi dać w prezencie znalezioną w trawie malutką żabkę trawną. Oczywiście nie da się zapomnieć zabaw karnawałowych! Ile było wymyślania, żeby przebrać się wyjątkowo! Malowanie piegów kredką mamy, wplatanie drucików we włosy – Pippi gotowa w pół godziny. Malowniczo poszarpana bluzka, rozczochrane włosy i mop w rękę – wiedźma może iść na bal. Podobnie było z andrzejkami, organizowanymi w klasie, z konkursami i wróżbami. Świetnie pamiętam, że każdego roku wygrywałam w konkursie butów – dziewczyny zdejmowały po jednym bucie, jeden za drugim układałyśmy je na podłodze w kierunku drzwi. Ostatni przekładało się na początek kolejki i tak aż do drzwi. Dziewczynka, której but pierwszy przekroczył próg, miała pierwsza wyjść w przyszłości za mąż. Wygrana nie była powodem do radości :). Były też konkursy tańca. Do dziś mam w domu dyplom własnoręcznie przygotowany przez jedną z koleżanek w ramach nagrody za pierwsze miejsce.

Nadszedł czas na przejście do klas 4-6. To dopiero była zmiana! Plecak z Kubusiem poszedł w odstawkę, a pojawił się większy, czerwony w kwiatki. Pani Renata Gruchała przejęła pieczę nad klasą 4a. Pojawili się nowi nauczyciele, nowe przedmioty. Wtedy odezwało się we mnie zamiłowanie do języka polskiego i plastyki – te zajęcia uwielbiałam. Pamiętam tęczowe zasłony w sali 18, u Pana Pawła Legięckiego, klatki ze stale uciekającymi chomikami w sali 16 u Pani Mirony Synowiec. Jeden z chomików zjadł kiedyś sporą kartkę papieru, ale po tym incydencie był zupełnie zdrowy. Lekcje przyrody były jedynymi z moich ulubionych, ale przeliczanie skali z liczbowej na mianowaną było moją zmorą, podobnie jak pismo techniczne. Lubiłam też lekcje wychowania fizycznego, prowadzone przez Panią

Elżbietę Azarkiewicz. Zwłaszcza tak zwana „mała sala” zapadła mi w pamięć. Skoki przez skrzynię, wspinanie po linie i nauka przewrotów w tył, które zapamiętale ćwiczyłam też w domu i naturalnie rozgrywki tenisowe w „króla”. Oczywiście na kilka słów zasługują też przerwy, spędzane na „wybiegu”. Wybiegowy lany poniedziałek, urządzony po powrocie z przerwy wielkanocnej, kiedy to wszyscy wróciliśmy na lekcję przemoczeni do suchej nitki, a także bitwy na pokrzywy. Na tym też „wybiegu” wszyscy zdaliśmy egzamin na kartę rowerową. W szkole odbywały się też dyskoteki. To była okazja do wspólnej zabawy, chociaż tańczyły raczej dziewczyny. Miło wspominam też wyprawy do szkolnego sklepiku, zwykle na „sopelki”, do biblioteki, żeby poszukać jakiejś książkowej nowości, a także powroty ze szkoły w gronie przyjaciół. Im byliśmy starsi, tym ciężej było myśleć o rozstaniu z „czwórką”, z ulubionymi nauczycielami, z koleżankami i kolegami. Na koniec szóstej klasy zrobiliśmy plakat, który zawisł na korytarzu. Przeżyliśmy też pierwszy poważny egzamin, ale nie było wcale tak strasznie. Zakończenie roku zorganizowano w stylu starożytnej Grecji. To było też moje ostatnie wystąpienie w poczcie sztandarowym. Zagrałam wtedy zdenerwowaną Herę szukającą Zeusa, który zbyt wiele czasu spędzał u Dionizosa.

„Czwórka” zawsze pozostanie dla mnie ważnym miejscem, do którego będę powracać myślami. Chociaż zmieniła się przez te sześć lat, które spędziłam w gimnazjum i liceum, nadal pozostaje „tą pierwszą”, w której odnosiłam pierwsze sukcesy i porażki, zawierałam przyjaźnie. Do dziś moją bliską przyjaciółką jest moja sąsiadka z zerówkowej ławki. Bywały chwile, kiedy tęskniłam do starej, dobrej „podstawówki”. Zostało mi z niej zamiłowanie do plastyki i literatury, choć w liceum obrałam kierunek biologiczno-chemiczny. Dziś jestem już po maturze, rozpoczynam studia na uniwersytecie medycznym i nadal z sentymentem wspominam każdą znajomą twarz z Jasnej 30. Wszystko, czego zostałam nauczona w Szkole Podstawowej nr 4 zaprocentowało. Zawsze będę dumna, że to tu stawiałam moje pierwsze szkolne kroki.

dr Zygmunt Wojski

(…) W 1948 roku zacząłem chodzić do Szkoły Podstawowej nr 4 przy ulicy Bielańskiej w Skierniewicach. Był to długi, parterowy budynek z ciemnoczerwonej cegły, z podłogami pokrytymi grubą warstwą czarnego pyłochłonu, o mocnym, nieprzyjemnym zapachu.
W pierwszej klasie jeszcze wisiały krucyfiksy, śpiewaliśmy „Kiedy ranne wstają zorze", odmawialiśmy specjalne modlitwy przed lekcjami i po ich zakończeniu oraz przed i po jedzeniu /w szkole dostawaliśmy zupę/.
To wszystko skończyło się w drugiej klasie. We wrześniu 1949 roku zamiast krzyża pojawiły się trzy portrety: Bieruta, Cyrankiewicza i Rokossowskiego i wisiały aż do końca siódmej klasy w 1955 roku.
Moją wychowawczynią była przez cały okres nauki w tej szkole pani Anna Krasocka, która do klasy V uczyła nas wszystkich przedmiotów i była dla mnie przede wszystkim świetną polonistką, a także znakomicie prowadziła chór szkolny.

Podczas każdej uroczystości rozpoczęcia roku szkolnego śpiewaliśmy piękną „Pieśń o szkole" ze słowami Kornela Makuszyńskiego: „Słyszycie, dzwonek na was woła, /Ma w głosie radość rozśpiewaną! /To ja was wołam, wasza szkoła, /W to wasze pierwsze szkolne rano!". Któż teraz zna tę piosenkę? Kto ją jeszcze śpiewa? Chyba nikt! W repertuarze były polskie pieśni ludowe, kilka pieśni Moniuszki, „Życzenie" Chopina i szereg pieśni dziecięcych pochodzących ze „Śpiewnika dla dzieci" ze słowami Marii Konopnickiej i muzyką Zygmunta Noskowskiego. Te najbardziej przemawiały do mojej wyobraźni. Poezja Konopnickiej jest tak nasycona barwami, tak piękna w swojej prostocie, tak znakomicie maluje polski pejzaż, zaś muzyka Noskowskiego, czerpiąc ze skarbca polskiej muzyki ludowej, doskonale dostosowuje się do tej poezji. Spośród wielu piosenek z tego cyklu śpiewanych przez nasz chór szkolny, dwie urzekły mnie najbardziej: „Zawitał nam dzionek /i pogodny czas. /Pójdziemy, pójdziemy /na jagody w las!" i „Za tą głębią, za tym brodem /tam stanęła rzeka lodem. /Ani szumi, ani płynie, /tylko duma w swej głębinie." Dotąd, gdy je słyszę, czuję jakiś dreszcz emocji przebiegający mi po plecach.

Były ponadto pieśni patriotyczne i dużo piosenek radzieckich z „Hymnem Związku Radzieckiego" na czele. „Hymn Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej" /ŚFMD/ zaczynający się od słów: „Naprzód młodzieży świata!" śpiewany był przed lekcjami, na apelach porannych. Pamiętam, że podczas śpiewania tego hymnu niektórzy chłopcy zamiast śpiewać: „Nie zna granic ni kordonów pieśni zew..." śpiewali: „ ... pies mi zdechł". Wielce komiczne było i to, że za spóźnienie na apel /a zdarzało mi się to dość często/, Trzeba było za karę odśpiewać - czasem solo - ów „Hymn ŚFMD". Do dziś wprawia mnie to w wesołość, bo osoba, która mnie do tego zmuszała /szef tak zwanej „Organizacji Harcerskiej"/ wyobrażał sobie, że to będzie dla mnie wielka kara. Nie wiedział, biedaczek, że lubiłem śpiewać i nawet taki knot jak „Hymn ŚFMD" śpiewałem mu nienagannie. Spośród „państwowotwórczych" piosenek napisanych już po wojnie w PRL-u śpiewaliśmy między innymi „Budujemy polską wieś" /kompozycja Jana Maklakiewicza!/ i „Pochód przyjaźni" /„Ani góry wysokie, ani morze głębokie nie wstrzymają pochodu przyjaźni..."/ z muzyką Tadeusza Sygietyńskiego /sic!/. Zarówno te ostatnie - polsko - ludowe, jak i radzieckie, charakteryzowały się zupełnie ładną melodią i zupełnie niedorzecznymi, zwłaszcza dla młodzieży, słowami.

Pani Anna Krasocka upodobała sobie szczególnie „Pieśń pracy"/autor: J. Schehn, układ: B. Rutkowski/. To od niej zaczynały się chyba wszystkie występy naszego chóru. Muzyka marszowa, wspaniała, ale te słowa! Mój Boże! Cytuję: „Hej, wznieśmy, bracia, wolny śpiew, niech w żyłach ludu zagra krew, radosną głosim wieść: Zamilknie wrogów niecny zgrzyt, wolności nam zabłyśnie świt, cześć pracy, cześć, cześć pracy, cześć! My zwartą ławą pójdziemy w bój, nie będzie próżnym krwawy znój, zwycięstwa zabrzmi wieść: Więziennych runie siła krat, zdobędziemy sobie wolny świat, cześć pracy, cześć, cześć pracy, cześć!"

Nasza pani wychowawczyni organizowała wszelkie akademie /często zdarzało mi się na nich recytować wiersze nie tylko Mickiewicza, Puszkina i Konopnickiej, ale także Majakowskiego i Broniewskiego/ i założyła też „Doświadczalny Ogródek Miczurinowski" przy szkole. Każdy z nas miał tam swoją grządkę z tabliczką, na której figurowało nazwisko i nazwa uprawianej rośliny. Ja uprawiałem słonecznik oleisty. Mój najstarszy brat, Stanisław, studiował już architekturę. Zrobił mi tabliczkę, na której pięknie wymalował czarnym tuszem kwiat słonecznika, wypisał jego nazwę oraz moje imię i nazwisko. Byłem bardzo dumny ze swojej grządki, bo moje słoneczniki były naprawdę dorodne.

Od piątej klasy języka rosyjskiego zaczęła nas uczyć pani Skupińska.

W czwartej mieliśmy już pierwsze lekcje tego języka z panią Krasocka. Nie wiem, jak pani Skupińska potrafiła nauczyć nas w tym apogeum stalinizmu w ciągu trzech lat /aż do siódmej klasy włącznie/ samych pięknych wierszy największych poetów rosyjskich, w tym: „Striekoza i murawliej" Kryłowa, „Skwoz wołnistyje tumany probirajetsa łuna" Puszkina, „Bielejet parus odinokij" Lermontowa i innych. Dokonała znacznie więcej w tej dziedzinie, niż moje późniejsze nauczycielki rosyjskiego w liceum i uniwersytecie /bo i tam był to przedmiot obowiązkowy przez dwa lata/.

W szóstej i siódmej klasie języka polskiego uczyła nas pani Ewa Ferencowa. Była znakomitą polonistką i świetnie nauczyła nas gramatyki. Jeśli idzie o literaturę, obok klasyki polskiej musieliśmy, niestety, „przełknąć" teksty o Engelsie, Dzierżyńskim, Marchlewskim, Leninie, współzawodnictwie pracy wśród górników /o niejakim Wincentym Pstrowskim/, teksty Wasilewskiej, Katajewa /„Syn pułku'"/, „Wspomnienia o Marksie" Lafargue'a i Liebknechta, wiersze Broniewskiego, Majakowskiego, St. R. Dobrowolskiego, Leona Pasternaka, a także teksty Bieruta i tym podobnych.
W wypracowaniach domowych zaczęła panoszyć się na dobre straszna nowomowa, zbitki i sformułowania typu: walka o pokój, należy wykonywać zwycięsko plan ... - letni; rozszerzyć i pogłębić współzawodnictwo pracy, wyplenić wrogów narodu; musimy zlikwidować w swojej klasie leniów; magnaci są egoistami, bezecnymi wyrodkami, Judaszami, bo dbają tylko o siebie; każdy człowiek w USA głoszący hasła polityczne jest skazany na katorgę; mieszkanie dla robotnika w Polsce Ludowej jest ogrzewane kaloryferami; nasi górnicy biorą przykład przodujących na świecie górników radzieckich z Zagłębia Donieckiego, wychowanych w duchu „Komsomołu" - toż to zgroza, włos się jeży!
To fragmenty z zeszytu z lat 1953/54, już po śmierci Stalina. Ten język, na szczęście, zmienił się zasadniczo po Polskim Październiku w 1956 r., gdy do władzy doszedł Gomulka.

Od ostatnich klas szkoły powszechnej urządzałem coraz dłuższe spacery doliną Łupi, czasem w towarzystwie siostry oraz Krysi i Kazia Przybyłowiczów. (…) Zimy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych były bardzo śnieżne i mroźne. Niemal codziennie zjeżdżaliśmy na sankach z górki przy młynie pana Cieplińskiego. Dość często w takie zimowe dnie chodziłem z mamą i siostrą do rodziny na Starbacichę. Wracaliśmy prawie zawsze gdy było już ciemno. Jakże piękne były te rozgwieżdżone noce z poświatą księżyca iskrzącą się srebrzyście na grubym śnieżnym kobiercu! (…)

Lato, wczesne lato nad Łupią! Słoneczny lipcowy dzień. Gra światłocieni na powierzchni wody. Wśród cienia rzucanego przez gałęzie olch, świetliste plamy słońca i ryby przemykające przez te złoto - zielone „oczka". To jeden z najpiękniejszych obrazów z mej wczesnej młodości. Tyle potem widziałem wspaniałości, ale tego nie zapomnę nigdy ! (…)
W 1955 roku ukończyłem szkołę powszechną. (…)

Andrzej Szadkowski

Szkołą, której tradycje sięgają 1918 roku, tj. po uzyskaniu przez Polskę niepodległości, jest Szkoła Podstawowa nr 4 przy ulicy Jasnej.

Pierwszą siedzibą tej placówki był Dworzec Carski, zwany „Kulturą”, położony vis a vis nieczynnej obecnie parowozowni i spalony w styczniu 1945 r. Zorganizowana staraniem i

pomocą materialną władz stacji kolejowej. Mimo zmiany siedziby, jeszcze w drugiej połowie lat 40 – tych XX wieku, na świadectwach szkolnych obok nazwy szkoły umieszczano wyraz – „kolejowa”. Ten dodatek miał m.in. uzasadnienie, gdyż większość uczniów pochodziła z rodzin o tradycjach kolejarskich i mieszkała na Bielanach – ulica Bolimowska, Bielańska, Nowobielańska i ulicach Jasnej, Łowickiej, Sabadiany (ob. Waryńskiego), Sienkiewicza, Mickiewicza i dalej Mokrej Prawej, Sierakowicach, a nawet Rawki.

Jak wspomniałem historia zaczęła się w 1918 r. W „Kulturze" i trwała do wybuchu II wojny światowej w 1939 r. Po wkroczeniu władz okupacyjnych budynek stopniowo zajmowano dla potrzeb wojska niemieckiego. Szkołę usunięto i zaczęła się tułaczka nauczycieli i uczniów. Przez pewien okres naukę kontynuowano w budynku przy ul. Sienkiewicza (obecnie szkoła). Od 1943 r. siedzibą szkoły został budynek przy ul. Bielańskiej (ob. pustostan koło działek). Obecnie spadkobierczynią tej placówki jest Szkoła Podstawowa nr 4 przy ul. Jasnej.

Po zakończeniu wojny, Parowozownia Główna II klasy w Skierniewicach nadal pomagała „kolejowej", aż do zmian strukturalnych w tym przedsiębiorstwie. Drugim opiekunem – sponsorem – była Jednostka Wojskowa, szczególnie w okresie organizowania tej palcówki przy ul. Jasnej. W tym miejscu warto zacytować stwierdzenie: „Historia Skierniewic związana jest z koleją i wojskiem". (…)

Teraz podzielę się swoimi przeżyciami ucznia szkoły przy ul. Bielańskiej w okresie od 1945-1959 r., czyli jej ukończenia.

Siedziba mieściła się w budynku parterowym, który stoi do dziś, częściowo naruszony „zębem czasu", zapomniany i tylko te stare czerwone cegły pamiętają okres świetności tego miejsca. (…) Budynek nie odpowiadał potrzebom szkoły, gdyż klasy mieściły się w dawnych pokojach w układzie amfiladowym, tzn., aby dostać się do ostatniego, trzeba było przejść wszystkie poprzednie. Jakie stanowiło to zakłócenie, łatwo zrozumieć.

Klasy ogrzewano piecami węglowymi, brak wodociągu i kanalizacji uzupełniała studnia oraz ubikacja za komórką. Na obecne czasy warunki nie do przyjęcia, a nawet wyobrażenia.

Wejście do budynku znajdowało się od podwórka. Tuż za progiem była ogólna szatnia z drewnianymi wieszakami, zamocowanymi do ściany, piec kaflowy, a na stoliku duży kocioł z kranikiem u dołu, wypełniony czarną kawą zbożową, którą uczniowie mogli pić, oczywiście z własnych garnuszków metalowych, noszonych przy tornistrze.
Podłogi w całej szkole wylewane były tzw. pyłochłonem o zapachu nafty, żeby się nie kurzyło i było łatwo utrzymać czystość. Uczniowie siedzieli w klasach w jednoczęściowych ławkach dwu- lub trzyosobowych, ustawionych w trzech rzędach. Ławka składała się z siedziska oraz pulpitu ze schowkiem na tornister. Na początku środkowego rzędu ławek stała katedra z podwyższoną podłogą, aby nauczyciel mógł ogarnąć wzrokiem całą klasę. Ławki i katedra miały otwory, w których mieściły się szklane kałamarze z niebieskim atramentem. Tornistry wykonane były z utwardzonej tektury lub dykty - sklejki - pomalowane olejną farbą. Noszone były na plecach, żeby uczeń się nie garbił. Tornister miał jedną małą przegrodę, w której, jeśli miał, to przynosił drugie śniadanie. Najczęściej był to chleb razowy ze smalcem, a nawet posypany cukrem i polany esencją herbacianą. W większej części mieściły się podręczniki i zeszyty oraz drewniany piórnik, a w nim obsadka do stalówek: z „krzyżykiem" do pisania na matematyce i z „serkiem" na pozostałych lekcjach, np. kaligrafii,

dyktandach. Nieodłączny element zeszytu, prócz marginesu, stanowiła bibuła do zbierania kleksów. Podkładana pod piszącą dłoń, zapobiegała ewentualnemu zabrudzeniu kartki zeszytu.

Na lekcje rysunku uczniowie przynosili blok rysunkowy, kredki, przeważnie świecowe, bo łatwiej dostępne i tańsze oraz farby wodne i naczynie na wodę oraz pędzelek. Zdobywaliśmy na nich bardzo praktyczną, modną i cenioną umiejętność - wykonywanie laurek. Najczęściej na arkuszu brystolu A 4 rysowano kredkami lub malowano farbami kompozycje kwiatowe z dedykacją np. „Kochanej Pani Wychowawczyni". Czasami były to bardzo dobre prace, szczególnie cenione, ponieważ darczyńca swoją pracą i talentem określał swój stosunek uczuciowy do obdarowanego. Wręczanie laurek było modne do początku lat 60 XX wieku. Szybki rozwój poligrafii, aż do grających pocztówek zastąpił tę formę pamięci.

Przedmiot o nazwie roboty ręczne zadania dla dziewcząt i chłopców. Na te lekcje uczniowie przynosili własne materiały. Dziewczęta ręcznie szyły, wyszywały, cerowały i wykonywały ogólne robótki ręczne. Chłopcy zbijali drabinki do kwiatów doniczkowych, półki, strugali z drewna łyżki, miseczki, łopatki, budowali domki dla ptaków.
Nie było boiska ani sali gimnastycznej, ale zajęcia wychowania fizycznego odbywały się przez cały rok szkolny. Zimą gimnastykowaliśmy się w klasach między ławkami - ćwiczyliśmy wymachy, przysiady, skłony. W porze ciepłej zajęcia odbywały się na podwórku przed szkołą lub na placyku obok (ob. stoi dom mieszkalny). Po rozgrzewce przeważnie graliśmy w „dwa ognie". Była to dobra zabawa, gdyż wymagała biegania, refleksu i mogła być koedukacyjna. Czasami kręciliśmy węża - uczestnicy trzymając się za ręce w szeregu biegali. „Wąż" wił się, a ostatni przeważnie urywali się. Początkowo nie mieliśmy kostiumów sportowych, ponieważ nie każdy miał buty – przeważnie trzewiki, czasem po starszym bracie.
Dopiero około 1948 r. na placyku urządzono pseudoboisko. Wkopano słupki do założenia siatki do gry w siatkówkę, wytyczono niby bieżnię 60 m oraz zeskocznię do skoku w dal.

Czasami w klasie wyświetlane były filmy oświatowe, o wegetacji roślin, zwierzętach itp. Wtedy zasłaniano okna ciemnymi zasłonami, chyba jeszcze z okresu wojny, gdy obowiązywało zaciemnienie. Projektor terkotał, a my na ekranie zawieszonym nad tablicą z bijącym sercem oglądaliśmy fabułę.

Klasa była więc miejscem zdobywania wiedzy, tężyzny fizycznej,
a nawet wesołych chwil, gdy były imieniny i częstowaliśmy się landrynkami lub irysami, a chyba najweselszym, gdy wręczano świadectwa
na zakończenie roku.
Uczniowie łamali czasem regulamin szkolny. Wtedy klasa była miejscem odbywania kary. Kary były różne - od pociągnięcia za ucho, stąd później przezwisko „ty ośle ucho", wywołanie do tablicy, stanie w kącie lub klęczenie w kącie na grochu. Za ciężkie przewinienia winny (chłopak) odsyłany był na przerwie do Pana kierownika, który kazał ściągnąć portki, żeby nie pękły, położyć się przez krzesło z wypiętą pupą i chyba drewnianym wskaźnikiem wymierzał karę. Przeważnie jedno uderzenie przypominało uczniowi o przestrzeganiu regulaminu szkolnego. Ponieważ odczułem to na własnej skórze, dlatego dzielę się wspomnieniami z tej „lekcji". Ale to było i tak lepsze niż wezwanie rodziców do szkoły, gdyż ręce nie tylko kolejarskich ojców były o wiele „cięższe".

Do lubianych przedmiotów należała wiedza o przyrodzie. Wiadomości podręcznikowe

uzupełniane były „zielnikami”, tj. zeszytem, w którym zasuszaliśmy liście drzew parkowych np. klonu, lipy i kwiatów – fiołki, stokrotki, a nawet kłosy zbóż. W maju w ramach ogólnokrajowych „Dni Lasu" udawaliśmy się całą szkołą do lasu Nieborowskiego lub Bolimowskiego i pod nadzorem leśników pieliliśmy szkółki leśne lub je zakładaliśmy sadząc małe sosny, brzozy, dęby. Poznawaliśmy gospodarkę leśną i właściwy stosunekdo przyrody w ogóle. Więzi koleżeńskie w klasie wyrażane były w formie wpisów do pamiętników, w których dla potomnych wpisywali się przyjaciele, dołączając oprócz rysunku (kwiaty, domki, koty), dedykację. Np. „Na górze róże, na dole fiołki, kochamy się jak dwa aniołki", lub bardziej przekornie „Wspomnij o mamie, wspomnij o tacie, gdy będziesz prała mężowi gacie".

W starszych klasach krążył wśród uczniów tzw. flirt towarzyski
i uprawiany przeważnie w czasie lekcji. Polegał na podawaniu pocztą pantoflową karteczki z napisem np. dla Joli, pyt. 4, które w senniku znaczyło np. kocham cię, czy nie dłub w nosie. Byliśmy powojennym rocznikiem, który w różnej kondycji przeżył okres okupacji, dlatego szkoła organizowała różne formy łagodzenia skutków wojny.

W 1945 i 1946 r. raz w tygodniu przynosiliśmy do szkoły łyżkę stołową i piliśmy tran. Na pewno nie był to syrop czy ulepek. Na zagryzkę otrzymywaliśmy kawałek chleba posypanego solą.Zimą lub na dużej przerwie uczniowie dostawali kubek gorącego kakao, a biedniejsi również bułkę.
Poddawani byliśmy również szczepieniom przeciw tyfusowi oraz ospie. Na nosicielstwo gruźlicy płuc nalepiano nam na klatce piersiowej plastry
z odczynnikiem.
Na co dzień pani wychowawczyni sprawdzała czystość naszych paznokci i uszu, jak mówiła: „żeby wam rzepa nie wyrosła".

Raz w miesiącu, a później na kwartał, higienistka pani Mruwczyńska sprawdzała czystość głowy na wszawicę, a rąk i nóg na świerzb.

Takie były czasy i musiały być stosowane odpowiednie zabezpieczenia.
Uczeń musiał odpowiednio wyglądać. Wszystkich do klasy piątej włącznie obowiązywały granatowe fartuszki z białym kołnierzykiem „a la Słowacki". Dziewczynki długie, a chłopcy w formie wiatrówki. Panie nauczycielki również nosiły fartuchy. Jednakowy strój oprócz estetycznego wyglądu klasy miał znaczenie praktyczne - nie znać na nim było plam z atramentu, chronił ubranie od zabrudzenia kredą. Do odpowiedniego wyglądu zaliczana była fryzura. W tym względzie wybór był mały. Dziewczynki nosiły jeden lub dwa warkocze z granatową lub białą kokardką, a chłopcy uczesanie z grzywką albo na boczek, ale włosy wysoko podstrzyżone. W niektórych sytuacjach u dziewczynek dopuszczalna była fryzura „na chłopczycę", a u chłopaków „na jeża". Głowa ogolona na zero, czyli „pałę" bardzo źle się kojarzyła. Takie strzyżenie robione było pod przymusem w okresie rekruckim
w wojsku, po przebytym tyfusie, pobycie w miejscu odosobnienia. (…)

Nasza klasa zawsze była „B". Wychowawczynią była wspomniana pani Jadwiga Mazurowa, a pozostali to: prefekt ksiądz Jerzy Miecznikowski, nauczycielki Krasocka, Jagiełowa, Krychniakowa, Skupińska i Ferencowa. Dwie pierwsze uczyły mojego ojca, mamę, ciocie, jeszcze w „Kulturze" w latach 20. XX wieku.

Klasa liczyła około 40 osób, w tym dziewczęta: Basia Jasińska, Zosia Wolska, Zosia Zarębska, Basia Gałka, Irka Sobieska, Krysia Żebrowska, Zosia Wąsik, Zosia Szczytkowska, Karolina Zalewska, Zosia Podwysocka, Basia Nowacka, Halinka Ćwikła, Basia Wagner, Zosia Skupińska, Zosia Żałoba, Basia Staszkiewicz, Ala Malarowicz, Halinka Szmit. Chłopcy: Tadek Tarnowski, Ziutek Karda, Leszek Wisławski, Andrzej Krajewski, Włodek Caban, Władek Kozłowski, Wiesiek Wójcik, Leszek Kucikiewicz, Janek Szyba, Wacek Kornacki, Stasiek Morawski, Jacek Kosiorek, Rysiek Ceret, Władek Korpas, Marian Skręta. Jeśli kogoś pominąłem, to bardzo przepraszam, ale wszystkich pozdrawiam. Z tej licznej grupy prawie wszyscy zdobyli wykształcenie średnie, w tym kilkunastu wyższe, pełniąc w przyszłości odpowiedzialne stanowiska w gospodarce i administracji. Prawie 75 proc. podjęła pracę na kolei. Wynik ten został osiągnięty mimo trudnych warunków, ale dzięki naprawdę wspaniałym nauczycielom, którzy pozostaną w pamięci wychowanków do końca ich dni.

Katarzyna Nowosad (Odolczyk)

Byłam uczennicą Szkoły Podstawowej nr 4 w latach 1989 – 1997.

Od tego czasu minęło już sporo lat i wiele wspomnień zatarł czas.

Pamiętam, iż w klasach 1 – 3 moim wychowawcą był pan Andrzej Skowroński. Był to nauczyciel, z którym klasa się nie nudziła. Miał wiele szalonych pomysłów i próbował zarazić nas swoimi zainteresowaniami – filmem i muzyką. Zaowocowało to nakręceniem filmu pt. „Jacek i Placek” oraz teledysków do muzyki „Lady Pank”. Oczywiście głównymi aktorami byliśmy – my, czyli uczniowie.

Kolejne lata nauki w SP 4, nie były już tak burzliwe, ale dały nam solidne podstawy do dalszej pracy.
Teraz, wracając po latach do tej szkoły, w której obecnie uczę matematyki, znów spotykam znajome twarze.
Szczególnie jest mi miło, że współpracuję z nauczycielami, którzy uczyli za „moich czasów”, a teraz są moimi kolegami z pracy.

Karolina Melon – Mika

Odkąd pamiętam zawsze chciałam zostać nauczycielką .Będąc dzieckiem, często bawiłam się z koleżankami w szkołę, marzyłam i wyobrażałam sobie, że uczę w swojej własnej szkole, do której chodziłam. Nigdy bym nie się nie spodziewała, że teraz późnym wieczorem będę siedziała nad białą kartka papieru, pisząc wspomnienia ze szkoły podstawowej, w której pracuję jako nauczycielka języka angielskiego.

W „czwórce” spędziłam 9 lat, rok w „zerówce” i 8 lat w klasie „C”. W tamtych czasach klas było, aż do litery „F”, albo nawet więcej.
Teraz zastanawiam się jak Pani Dyrektor układała plany i gdzie nas wszystkich mieściła. To chyba graniczyło z cudem! Pamiętam, że był taki rok, że niektóre klasy, w tym i nasza, zostały na pewien czas przeniesione do tzw. „samu” (obecnie Szkoły Milenium). Nie mieściliśmy się w „czwórce”. Z powodu wyżu demograficznego szkoła pękała w szwach. Na szczęście wybudowano „ósemkę” na Osiedlu Widok i część uczniów zostało tam przeniesionych. Pamiętam, że rozstawaliśmy się z nimi ze smutkiem, ponieważ byliśmy już dosyć zżyci. Poza tym, trochę im zazdrościliśmy, w końcu poszli do nowej szkoły, gdzie miał być basen!

Z „zerówki” pamiętam swój granatowy fartuszek na szelki z wyhaftowanym przez moją mamę czerwonym jabłkiem. Wszystkie dzieci w całej szkole chodziły wtedy w takich fartuszkach. W „zerówce” opiekowała się nami pani Iwona Leśniewicz (wtedy Juraś) Była bardzo opiekuńcza, ale jednocześnie potrafiła trzymać dyscyplinę. Pamiętam jak kiedyś, postawiła nas do kąta za to, że bez pozwolenia wzięliśmy do rąk nożyczki. „Konikiem” Pani Iwony była przyroda. Już wtedy udało jej się zarazić nas swoją pasją .

W klasie 1 – 3 pierwsze kroki w nauce stawialiśmy z panią Teresą Jakóbczyk, dla której nauczanie było prawdziwym powołaniem. Wspominam swoje trudne początki z nauką czytania. W tym czasie w domu, moim rodzicom urodziły się bliźniaki i niewiele mogli mi oni pomóc w pierwszej klasie. Pani Jakóbczyk zostawała z nami po lekcjach i razem z nią ćwiczyliśmy czytanie, aż do skutku. Dzięki niej czytaliśmy pięknie i płynnie, i … wszystko co się dało wypożyczyć z biblioteki. W latach 80 . wypożyczenie książki ze szkolnej biblioteki, to była naprawdę frajda. Lektury czytała cała rodzina.

Przez kolejne 5 lat opiekowała się nami pani Janina Szczerba, próbując nas zarazić swoją pasją do matematyki. Była bardzo dobrym pedagogiem. Jestem jej wdzięczna za to, że nie zmuszała nas, humanistów i antytalentów matematycznych do matematyki. Nigdy nie lubiłam matematyki i o tym nasza wychowawczyni wiedziała. Zdawała sobie sprawę, że moja 4 na koniec roku kosztowała mnie sporo wysiłku. Pani Szczerba potrafiła to docenić, a ja byłam naprawdę dumna ze swojej oceny.

Krótkie, wspólne wspomnienia moje i mojego męża, który również uczęszczał do Szkoły Podstawowej nr 4.

Świnka morska

W sali biologicznej hodowane były świnki morskie i był zakaz dotykania ich przez uczniów. Jednak gdy tylko pani od biologii znikała w swoim kantorku, chłopaki zaczynali głaskać świnkę i to pod włos! Szkolna świnka była bardzo z tego zadowolona!

Piłki z guzami

Kto chodził na SKS w „czwórce” musi z pewnością pamiętać śmiesznie wyglądające piłki z guzami, czyli skórzane, zużyte piłki, z których spod łat wychodziły gumy, tworząc guzki. Podobno dało się tymi piłkami niejeden mecz wygrać.

Akcja „Pij mleko (jakie? – zamrożone) będziesz wielki”

Kilkanaście lat temu, my również dostawaliśmy mleko. Zamiast w kolorowych kartonikach, każdy uczeń dostawał mleko w szklanych, ekologicznych butelkach z żółtymi kapslami. Zimą, zanim mleko zostało dostarczone do szkoły, zdążyło już zamarznąć po drodze. Ostre były wtedy zimy!

Ze wszystkich szkół, do których uczęszczałam w swoim życiu, najmilej wspominam właśnie szkołę podstawową. Beztroskie 9 lat dzieciństwa wypełnione przyjaźnią, nauką zabawą i dojrzewaniem. Chyba dlatego najmilej wspomina się podstawówkę, dającą solidne podstawy do dalszej nauki.

Sławomir Błaszczyk

Byłem uczniem Szkoły Podstawowej nr 4 w latach 1972 – 1980.

Pierwszą moja wychowawczynią, aczkolwiek bardzo krótko, była pani Stanisława Bożałek. W następnej klasie, już po podziale, który wynikał z bardzo dużej liczby dzieci, wychowawstwo objęła pani Przybylska.

Z osób, które chodziły ze mną do klasy, pamiętam niestety nie wszystkich, a są to: Zduńczyk Krzysztof, Baran Jan, Pągowski Zbyszek, Szymański ?, Kozioł Tomasz, Żabiński Józef, Maciejak Zbyszek, Lewandowski Mirosław, Słodki Artur, Magnuska Marzena, Paul Ryszard.

Potem powstała klasa o profilu sportowym, składającą się z samych chłopców, której wychowawcą został pan Zbyszek Ciesielski, a której uczniem zostałem również ja.

Tą właśnie klasę wspominam najmilej. Wspólne treningi, zawody, obozy sportowe, wyczerpujące a zarazem hartujące. Dobrze pamiętam treningi z judo. Podczas jednego z nich wydarzyło się coś, co na długo zapadło w mej pamięci. Pan Ciesielski pokazywał nam chwyty judo i jako osobę, na której miał demonstrować chwyty, wybrał mnie. Podczas ćwiczenia przerzuciłem trenera tak, że on niefortunnie uderzył nogą o drabinkę. Jak się potem okazało, uderzenie było na tyle silne, że pan Ciesielski następne tygodnie nogę miał unieruchomioną w gipsie. Od tego momentu zmieniłem zdanie na temat powiedzenia, że sport to zdrowie.

Hubert Markowicz

Szkoła Podstawowa nr 4 była szkołą, w której spędziłem niezapomniane chwile.

Gdy wszedłem pierwszy raz do tego budynku, nie wiedziałem, co będzie dalej. Szybko jednak przekonałem się do tej szkoły. Od samego początku nauczyciele służyli mi pomocą, zawsze miałem od nich wsparcie. Na lekcjach było ciekawie, wesoło, nikt się nie nudził.

Na przerwach wszyscy się dobrze bawili. Powoli odkrywałem każdy kąt szkoły, poznawałem nowych kolegów. Po kilku miesiącach znałem całą szkołę.

W klasach 4-6 zaczęła się prawdziwa nauka. Nie zmieniło to jednak mojego podejścia, wiedziałem, że zawsze może wydarzyć się coś naprawdę wyjątkowego. Pomimo, że niekiedy były również złe chwile, więcej i milej wspominam te dobre.

Najczęściej ze wszystkiego w szkole przypominam sobie lekcje wychowania fizycznego. Zawsze było śmiesznie, graliśmy w różne gry, w każdym dniu czekałem na tę lekcję. Najbardziej podobała mi się gra w piłkę nożną na piaszczystym boisku.

Mam bardzo miłe wspomnienia z tej szkoły. Żadnego nauczyciela nie pamiętam od złej strony, dobrze mi się kojarzy każda sala i lekcje, jakie w niej były.

Szkoła Podstawowa nr 4 to miejsce, gdzie nauczyłem się wielu rzeczy i poznałem kolegów, z którymi przyjaźnię się do dzisiejszego dnia.

Teraz, za każdym razem, gdy odwiedzam Czwórkę, wspominam stare, dobre czasy.

Ewa Kowalska (Więckowska)

Jak dla każdego ucznia początek nauki w szkole podstawowej był i dla mnie dużym przeżyciem.

Stałam na „wybiegu" w galowym ubranku. Wokół masa wysokich – bardzo wysokich dzieciaków – uczniów starszych klas. A ja malutka – choć teraz mało kto może w to uwierzyć - w gronie pierwszaczków.Nie rozumiałam, dlaczego mam stać z tą klasą, a nie przy mamie, która kręciła się przy obcych mi dzieciach. To było duże przeżycie.

A czy ktoś pamięta swój hymn klasowy? I zawołanie? Ja pamiętam je do dziś!

– Kranoludki Pucybutki – lubimy porządki i w szkole mamy same piątki.

I hymn – Poszły nad staw krasnoludki.....

A jaki piękny sztandar klasowy mieliśmy – miałam wtedy wrażenie, że najładniejszy w całej szkole.
Pamiętam moją pierwszą pracę domową. Pani Teresa Jakóbczyk kazała nam narysować

domek z ogródkiem. Narysowałam go na pierwszej stronie mojego nowego zeszytu w kratkę. Ale kiedy chciałam coś poprawić i zetrzeć gumką – jak na złość, cała strona mi się pogniotła.

Później mama ratowała mnie z opresji prasując żelazkiem kartkę w zeszycie – z obrazkiem, z którego wcześniej byłam tak dumna. Jednak moja duma nie trwała długo, gdyż za obrazek dostałam ocenę 3. Po lekcjach wróciłam zła do domu, żaląc się rodzicom na niesprawiedliwość nauczycielki.

Z początkowych lat szkolnych zapamiętałam też jedno – dziś dla mnie zabawne zdarzenie – jednak wtedy był to dla mnie szok. Moja klasą była sala nr 4. Swoją drogą mieliśmy tam wspaniałą tablicę muzyczną, z której byliśmy zawsze bardzo dumni – a która nigdy nie działała. Ale nie o tym teraz...
Pewnego dnia do sali weszła grupka ósmoklasistów. Wysokich chłopaków – jak dla mnie – wtedy już dorosłych. Siedziałam wtedy z Anią Broniarek w drugiej ławce środkowego rzędu. Wpatrywałam się w tych chłopaków z przejęciem, kiedy nagle podbiegł do mnie z tyłu sali kolega z klasy (pamiętam nawet który – ale tu tego nie zdradzę) i na ich oczach mnie pocałował w policzek. Takiego wstydu nie przeżyłam jeszcze nigdy! Pamiętam, że się rozpłakałam! A chłopaki z ósmej klasy zaczęli się śmiać. Może dlatego tak to zapamiętałam....

Wspominam apele i przedstawienia, w których brałam udział. Raz nawet zapomniałam, w którym momencie miałam wyjść i powiedzieć swój fragment wiersza – coś o wojnie – i w końcu wcale nie wyszłam... Pamiętam, jak w jakimś przedstawieniu grałam rolę kwiatka.
I pamiętam zuchowe przedstawienie w Domu Kultury, do którego dojechaliśmy z wychowawczynią, Panią Marzeną Odolczyk, wtedy chyba jeszcze Szymańską, syrenką Pana Zawadzkiego. Jak my się tam wtedy wszyscy zmieściliśmy (około 5 dzieciaków, Pani i kierowca) – nie pamiętam.

Z dalszych lat nauki najbardziej utkwiły mi w pamięci nasze klasowe wagary. To chyba było już w ósmej klasie. A musicie wiedzieć, że jako córka nauczycielki nie dane mi było wcześniej wagarować. Byłam pod stałym nadzorem. Jak tylko coś się działo – zaraz mama wiedziała. Ale wtedy sytuacja była wyjątkowa. W szkole nr 8 odbywały się zawody w siatkówce. A w drużynie reprezentującej naszą szkołę była nasza klasowa koleżanka. Niestety nie wyrażono zgody abyśmy kibicowali i opuścili lekcje. Więc jednogłośnie – poszliśmy na wagary – kibicować naszej drużynie. Nie pamiętam, czy wygraliśmy, czy nie. Pamiętam za to, że zawody skończyły się na tyle wcześnie, że niektóre osoby nie mogły jeszcze wrócić do domu nie budząc podejrzeń, a ponieważ moje mieszkanie było najbliżej ”ósemki”, zaprosiłam wszystkich klasowych wagarowiczów do mnie. W domu była mama. Powiedziałam, że przyszliśmy na film. A ona, jako najlepsza mama na świecie zrobiła nam kanapki i dała ciasteczka i picie. Po czym – poszła do szkoły, bo miała swoje lekcje po południu. Dopiero tam od Pani Małgorzaty Góralczyk, naszej wychowawczyni, dowiedziała się, że cała klasa 8 c poszła dziś na wagary. Co było w domu po jej powrocie – nie pamiętam, lub też wolę nie pamiętać.

No i wreszcie wieczorek ósmych klas. Najważniejsza chyba uroczystość każdego ucznia. Wrażenie, że zaraz zacznie się nowe życie, że świat stoi przed nami otworem...

Dużo można by jeszcze wspominać... spotkania z Dziadkiem Kamila Woźniaka, który opowiadał nam o wojnie, spotkania z pracownikami różnych instytucji, wycieczki do parku, zorganizowany przez naszą klasę pokaz zwierząt, zawody międzyszkolne w tym pokaz mody w szkole nr 8, dyskoteki klasowe – ze słynną lambadą, i inne mniejsze uroczystości, choinki i zabawy szkolne, konkursy tańca, wycieczki wyjazdowe.

Z perspektywy dzisiejszego dnia mogę śmiało stwierdzić, że były to wspaniałe lata, choć wtedy każdy z nas marzył, żeby jak najszybciej być dorosłym i wreszcie przestać chodzić do szkoły. Dziś wróciłabym tam znów.
Rozstawaliśmy się z żalem, bo byliśmy naprawdę zgraną klasą.
Ale jak to w życiu - każdy poszedł w swoją stronę.

Agnieszka Gryglak

Jestem absolwentką Szkoły Podstawowej nr 4 w Skierniewicach.

Z pierwszego etapu nauki w „czwórce" mam same dobre wspomnienia. (…)

Moją pierwszą wychowawczynią została pani Beata Więckowska. Była ona osobą, która zawsze służyła pomocą. Mogliśmy zawsze poprosić ją o radę. Przekazała nam podstawy wiedzy, dzięki której w dalszym etapie nauki było nam znacznie łatwiej.

We wrześniu 2003 roku poszliśmy do czwartej klasy. Był to czas wielu zmian – więcej przedmiotów i każdy z innym nauczycielem. Oprócz tego nowością były dla nas oceny.

Naszą wychowawczynią została pani Barbara Sikorska, która była bardzo wyrozumiała i serdeczna. Niestety, była z nami tylko przez dwa lata. W szóstej klasie pod opiekę wzięła nas pani Bożena Moczulska, która już od czwartej klasy uczyła nas języka polskiego. Znaliśmy ją dobrze i byliśmy zadowoleni, że to właśnie jej przypadło być naszą wychowawczynią. Wiedzieliśmy, że jest życzliwa oraz że dużo wymaga.

Szósta klasa miała jeden minus. Wiązało się to z pożegnaniem „czwórki". Bardzo trudno było odejść z tej szkoły. To było duże przeżycie.

Wspaniale wspominam moich wychowawców, nauczycieli, moją byłą klasę i sam budynek „czwórki". Pedagodzy wspierali nasze działania, zachęcali do nauki. Prowadzili wiele zajęć pozalekcyjnych i kół przedmiotowych, z których każdy mógł znaleźć coś dla siebie i rozwinąć swoje zainteresowania w danej dziedzinie.

Bardzo chętnie odwiedzam moją pierwszą szkołę. Wiem, że wśród dawnych nauczycieli znajdę zrozumienie, otrzymam dobrą radę i pomoc.

Często wspominam moją podstawówkę, z której wyniosłam tyle pogodnych wspomnień. Kiedy myślę o „czwórce”, poprawia mi się nastrój. Jestem dumna z tego, że uczęszczałam właśnie do tej szkoły.

Kinga Urbanek

(…) „Czwórka” byłą moją pierwszą szkołą. Moja klasa była bardzo sympatyczna. Polubiliśmy się nawzajem i z czasem staliśmy się bardzo zgraną grupą. Nauczyciele też nas polubili. Bardzo ciepło wspominam naszą pierwszą wychowawczynię – panią Beatę Więckowską, od której bardzo wiele się nauczyłam. Pomimo, że była z nami tylko przez pierwsze trzy lata, to jednak nie mogliśmy się z nią rozstać. Od czwartej do szóstej klasy uczestniczyliśmy bardzo chętnie w Kole Teatralnym, które oczywiście było prowadzone przez naszą pierwszą wychowawczynię.

Szkoda, że te dobre czasy kółka tak szybko się skończyły. Przez te trzy lata przygotowywaliśmy mnóstwo przedstawień, które wystawialiśmy w różnych miejscach. Raz nawet sami z pomocą pani napisaliśmy scenariusz do szkolnych jasełek.

W starszych klasach przyszła już ta poważniejsza nauka. Była to dla nas ogromna zmiana – każdy przedmiot z innym nauczycielem. Jednak nie było tak źle. W miarę upływu czasu, szybko przyzwyczailiśmy się do takiego systemu nauki.

Naszą kolejną wychowawczynią została pani Barbara Sikorska, która niestety odeszła po roku szkolnym 2004/05, czyli wtedy, kiedy ukończyliśmy piątą klasę.(…) W ostatnim roku nauki naszą klasę przejęła pani Bożena Moczulska, która od czwartej klasy uczyła nas języka polskiego. Byliśmy zadowoleni, gdyż już ją dobrze znaliśmy, bo język polski mieliśmy właściwie codziennie.

Nasi nauczyciele byli bardzo mili, a zarazem wymagający. Bardzo wiele nauczyłam się w tej szkole i jestem dumna, że ukończyłam właśnie Szkołę Podstawową nr 4, gdyż to szkoła z bardzo bogatymi tradycjami.